



# TEN PIERWSZY RAZ

# Ten pierwszy raz



GENIUS  
CREATIONS

## SŁOWEM WSTĘPU

Antologia Ten pierwszy raz to zbiór pięciu tekstów, najwyżej ocenionych w konkursie pod tym samym tytułem.

Jury w składzie Diana Cereniewicz, Marcin Dobkowski, Krystian Karolak, Marek Ścieszek i Tymoteusz Wronka wyłoniło finałową piątkę spośród dziewięćdziesięciu nadesłanych tekstów.

Każdy z członków jury oceniał anonimowe teksty indywidualnie, przyznając każdemu od jednego do dziesięciu punktów. Po zsumowaniu punktów najwyżej ocenione zostały:

1. *Uniwersalistyka* – Małgorzata Wieczorek – 42 punkty (10, 9, 9, 8, 6)
2. *Gwiazdy gasną nad MOA192b* – Anna Wołosiak-Tomaszewska – 41 punktów (10, 10, 9, 7, 5)
3. *Wow!* – Anna Hryczyszyn – 38 punktów (9, 8, 8, 7, 6)
4. *Sekunda do północy* – Agnieszka Sudomir – 37 punktów (9, 8, 7, 7, 6)
5. *Daleki zwiad* – Maciej Różalski – 37 punktów (9, 9, 8, 7, 4)

Nagrodzone teksty przedstawiają bardzo różne wizje pierwszego kontaktu z cywilizacją pozaziemską. Nie ze wszystkich ludzkość wychodzi obronną ręką. Nie zawsze to Obcy są źli, a my dobrzy. Jednak zawsze jest to interesująca opowieść.

# UNIWERSALISTYKA

**Małgorzata Wieczorek**

Gwiazdy gasły w ciszy, jedna po drugiej znikwały za obrysem stacji kosmicznej, niewidocznej dla ludzkiego oka, za to jaskrawo rozjaśnionej w paśmie używanym przez czujniki i komputery, które nadzorowały dokowanie niewielkiej kapsuły wystrzelonej półtorej godziny wcześniej z przelatującego frachtowca. W przestrzeń pomknęły niesłyszalne pytania i odpowiedzi, manewrowe silniki kapsuły prychnęły gazem, skorygowały po raz ostatni trajektorię i zgasły.

Młoda kobieta zawinięta w kokon transportowy zadrżała i mocniej objęła się ramionami. Myślała do tej pory, że nie lubi podróży, ale to było, zanim zapakowano ją w kapsułę do przewozu towarów i wystrzelono w stronę stacji, na której nigdy nie powinna się znaleźć. „Nie lubi” stanowiło zbyt łagodne określenie wobec jej stanu. Serce waliło jej jak młot, w ustach zasychało z paniki i czuła, jak kruche ściany kabiny zbliżają się tak bardzo, że zaczynało brakować powietrza. Nie potrafiła wyobrazić sobie gorszego momentu na odkrycie, że cierpi na klaustrofobię.

Zacząła kontrolować oddech, próbując narzucić sobie spokój. Nie może przecież być tak źle, pomyślała. Przeżyłaś całe życie, nie zdając sobie sprawy z takich problemów, a przecież gdyby były poważne, wiedziałabyś już wcześniej.

Lingwiści nie mają czego szukać w kosmosie. Gdyby miała chociaż odrobinę silniejszą pozycję na uniwersytecie, nie wylądowałaby w środku niczego, w pobliżu stacji tak nieważnej, że nawet nie opłacało się dostarczyć pasażerki inaczej, niż wystrzelując razem z cargo. Przez tydzień spędzony na frachtowcu zastanawiała się, co kryje się za lakoniczną prośbą o pomoc lingwisty skierowaną do najbliższego ośrodka akademickiego. Wymyśliła tuzin sprzecznych przyczyn, odrzuciła je jedną po drugiej i doszła w końcu do wniosku, że nastąpiła pomyłka i po wyjaśnieniach zostanie czym prędzej wysłana do domu. Miała tylko nadzieję, że uniwersytet nie zostanie obciążony kosztami.

Poczuła wstrząs, gdy kapsuła zadokowała. Zazgrzytały zaczepy, syknęło powietrze przy wyrównaniu ciśnień. Niezdarnie zaczęła wypłatywać się w kokonu, nie przywykła do mikrogravitacji. Odsunął się otworzony z zewnątrz właz i w otworze pojawiła się szeroko uśmiechnięta twarz mężczyzny.

– Pani doktor Channery Chen, jak przypuszczam? Nazywam się Imri Kopar. Jestem lekarzem, to ja poprosiłem o pani przybycie. Witam na stacji Ra.

– Dzień dobry.

Kobieta, pozbawiona praktyki w poruszaniu się w nieważkości, szarpnęła nogami zaplątanymi w elastyczną siatkę i odplynęła od kokonu, niezdarnie próbując przeciągnąć się w stronę włazu, który zginął gdzieś za jej plecami. Poczucie zagubienia wróciło. Bezwładnie leciała w przestrzeni, włosy unosiły się dookoła głowy, ograniczając pole widzenia, a zaplątane stopy stanowiły jednocześnie jedyny punkt stały i przyczynę dodatkowej paniki. Uratował ją

mocny uchwyt i szarpnięcie. Imri wisiał do góry nogami, utrzymywały go magnetyczne zaczepy. Wyciągnął rękę i dotknął panelu na ścianie. Kokon uwolnił ją i sieć zaczęła się obkurczać, wkrótce zniknęła bez śladu wewnątrz ściany. Imri podał przybytej rękę i pociągnął z wyczuciem.

– Przepraszam za brak grawitacji – powiedział. – Goście zwykle nie lądują w środkowej części, niestety zależało nam na pośpiechu. Na wygodniejszy środek transportu musiałyby pani czekać jeszcze dwa tygodnie.

Znalazła się w środku stacji, Imri zamknął za nią właz. Powietrze, które wciągnęła do płuc, pachniało żelazie i przywodziło na myśl kopalnie na asteroidach, których nigdy nie zwiedziła.

– Skąd ten pośpiech? Władze uczelni powiedziały mi, że wszystkiego dowiem się na miejscu.

Skorzystała z chwili i sięgnęła do kieszeni spodni po gumkę, związała czarne włosy, uważając, by znowu nie odlecieć, i rozejrzała się ciekawie. Tunel ciągnął się w obie strony, jak wydawało się, bez końca. Autonomiczne roboty przycupnęły na jego ścianach podobne do kiści owoców lub kolonii owadów, obłe, z podwiniętymi odnóżami, ukryte w ciemności, tylko ich odwłoki lekko fosforyzowały i oświetlały korytarz. Znowu sobie przypomniała, że maszyny nie potrzebowały więcej światła.

– Słyszała pani o Łowcy Przeznaczenia?

Skinęła głową. Historia Łowcy Przeznaczenia, jednego z pierwszych statków kolonizacyjnych, była znana chyba każdemu człowiekowi. Po opuszczeniu systemu bram podprzestrzennych statek ruszył w dalszą drogę, skazany na długi lot do celu z prędkością podświetlną i większością załogi oraz pasażerów w hibernacji. Uległ wypadkowi, o czym przekonano się, gdy na szczątki, po wielu latach, natrafił statek Bressler-Fragi, jednej z dwóch korporacji specjalizującej się w tworzeniu samowystarczalnych ha-

bitatów. Niepowodzenie na długie lata zatrzymało proces zaludniania nowych systemów planetarnych.

Owszem, słyszała o Łowcy. Wszyscy słyszeli o Łowcy, katastrofa statku nadal kładła się cieniem na eksploracji kosmosu.

– Powiem więcej, kiedy znajdziemy się już w ambulatorium – powiedział Imri i chwycił jej torbę. – Obawiam się, że to dłuższa historia. Lepiej będzie, jeśli pani najpierw usiądzie. Zwłaszcza że w tym korytarzu łatwo sobie nabić guza. Ludzie nie za często się nim poruszają.

Magnetyczne zaczepy przy butach lekarza odrywały się od podłoża z cichymi młaśnięciami. Channery przyjrzała się im zaintrygowana.

– Wbrew pozorom nabranie odpowiednich nawyków przy chodzeniu z zaczepami zajmuje sporo czasu – wyjaśnił. – I normalnie nie ma potrzeby ich stosować, ale są częścią edukacji pobieranej przez stałych mieszkańców. Na wszelki wypadek. Bez całego pakietu umiejętności nie można dostać zgody na zostanie rezydentem. Szybciej będzie, jeśli pani po prostu pomożę.

Delikatnie pociągnął ją za rękę i przesunęła się wzdłuż korytarza.

– Wiem, że to pierwsza pani wyprawa poza rodzimą planetę.

Skinęła głową.

– Nie miałam okazji dotąd wyjeżdżać.

Studiowała uniwersalystykę, jak po reformie nazywano dział lingwistyki poświęcony językom, które przez stulecia wykształciły się na odległych stacjach, asteroidach i planetach kontrolowanych przez korporacje czy kooperatywy, i większość dialektów pozaziemskich nie miało dla niej tajemnic. Nie znaczyło to jednak, że musiała każde z tych miejsc odwiedzić. Materiału badawczego było aż nadto bez rozbijania się po galaktyce i z reguły do podróży zniechęca-

no. Wyjątkiem była osobista prośba rektora Fabiańskiego, a w świecie akademickim pewne prośby są propozycjami nie do odrzucenia, o czym wcześniej lub później każdy ma okazję się przekonać na własnej skórze, jeśli chciał zachować prawo do dochodu gwarantowanego.

Po kilkudziesięciu metrach zaczęli zbliżać się do rejonu, gdzie panowała grawitacja, i Kopar pomógł Channery znaleźć oparcie dla stóp na długim szczelbu drabiny prowadzącej dalej kilometr w ciemność.

Schodzili powoli i z każdym krokiem czuła narastające złudzenie ciężenia. Emitery sztucznych pól grawitacyjnych nadal były zbyt ciężkie i drogie, by je instalować na zapomnianych przez menedżerów wysokiego szczelbu stacjach i ludzie musieli polegać na prostych prawach fizyki, by stworzyć sobie namiastkę odpowiednich warunków.

– Na całe szczęście dalej możemy już skorzystać z kolejki.

Zeskoczyła na podest, przy którym czekał wagonik. Z sykiem otworzyły się drzwi i wszedli. Wnętrze dawno już przestało być nowe, ściany pokrywały wydrapane napisy, którym zaczęła się przyglądać z po części zawodowym zainteresowaniem. Izna samti! – głosił jeden z nich. Śmierć frajerom!

Imri sięgnął po komunikator.

– Doktor Kopar do dyspozytora – powiedział.

– Słucham.

– Możecie rozpocząć rozładunek. Jedziemy już do ambulatorium.

– Rozumiem.

Lekarz schował urządzenie do kieszeni.

– Normalnie roi się tam od automatów – wyjaśnił. – I ludzie nie mają wstępu. Zbyt niebezpieczne przy masie transportowanych towarów i braku ciężenia.

Pojazd ruszył z głośnym zgrzytem.

– Czym się zajmujecie na stacji? – zapytała.



– Ra to stacja przeładunkowa. Oprócz tego w tym miejscu górnicy mogą wydać swoje ciężko zarobione pieniądze. Inaczej nie byłoby tutaj ludzi. A gdzie są ludzie, tam potrzeba lekarzy. Szczególnie w przypadku pracowników spędzających większość życia w mikrograwitacji. – Wzruszył ramionami. – To nie jest środowisko naturalne człowieka. Zobaczycie pani rzeczy, które nigdzie indziej nie są już spotykane. Ambulatorium stanowi praktycznie szpital dla okolicznych kopalń.

Channery wzdrygnęła się. Istnienie kopalń miało niespecjalne uzasadnienie ekonomiczne, ludzie nadzorujący maszyny byli tylko odrobinę tańsi od w pełni autonomicznych przedsiębiorstw, wykorzystywanych chociażby w czasie terraformowania planet i później przy wznoszeniu pierwszych osad. Zaletę kopalń i stacji ulokowanych w głębokiej przestrzeni stanowiło coś innego – były nieoficjalnymi miejscami zsyłki, gdzie zamykano nadwyżkę siły roboczej, niepotrzebnej i niepożądaną na planetach.

– Kolonie górnicze wytwarzają własne dialekty – powiedziała. – Większość z nich wedle wszelkich kryteriów stała się już pełnoprawnymi językami, tak bardzo oddaliły się od standardu. Muszę przyznać, że są ciekawe, na przykład szerokie doświadczenie braku grawitacji skutkuje wytworzeniem słownictwa negującego istnienie góry i dołu. Zamiast tego powstało mnóstwo innych określeń nieistniejących w językach planetarnych. Są to jednak języki dobrze opisane, nie stawiają żadnego oporu przy tłumaczeniach automatycznych. Byle komputer potrafi złamać bez problemu język głębokiego kosmosu, nawet jeśli wyewoluował jakiś niepoznany wcześniej. Nie rozumiem, po co tu jestem?

– Tego języka komputer nie złamał. Stwierdził, że nie jest to język, a ja się z tym nie zgodziłem.

Chciała coś powiedzieć, ale zatrzymała się w połowie słowa. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie mógłby mieć racji.

– Ale to niemożliwe – oświadczyła w końcu. – Mówimy o ludziach, prawda? Istnieją pewne granice, w jakich języki mogą się zmieniać. Związane jest to z budową mózgu, interakcją z otoczeniem. Dialekty kosmiczne wyznaczają granice możliwości. Dalej nic nie ma. Jeśli komputer mający standardowe oprogramowanie lingwistyczne stwierdził, że to nie język, to jestem gotowa się zgodzić. Jedyne wytłumaczenie to luki w oprogramowaniu. Sama przeprowadzę analizę i powinniśmy znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Kopar pokręcił głową.

– Proszę poczekać z ostateczną decyzją do chwili, aż pozna pani moich pacjentów.

Wysiedli i zaprowadził Chan do ambulatorium, które wbrew skromnej nazwie, dokładnie jak zapowiedział, było niewielkim szpitalem obsługującym pobliskie kolonie górnicze.

– Specjalizujemy się w urazówce – powiedział Imri. – Mnóstwo wypadków przy pracy i zszywanych głów po burdach w barze. Nieczęsto trafia się coś bardziej skomplikowanego. – zatrzymał się przed drzwiami do przylegającego gabinetu, wyciągnął rękę i dotknął panelu. – Zapraszam.

Po raz pierwszy od przybycia na stację Channery weszła po pomieszczenia z iluminatorem. Większość ściany za biurkiem zajmowało przeszklenie, przez które zobaczyła pasmo Drogi Mlecznej poprzecinanej smużkami gazu pobliskiej mgławicy. Zaparło jej dech w piersi, gdy uprzytomniła sobie, że widzi galaktykę z drugiej strony. Ariadna, jej rodzima planeta, okrążała niepozorną gwiazdę ulokowaną w przeciwnym ramieniu.

Kopar wskazał jeden z foteli stojących pod ścianą. Sam sięgnął po butelkę stojącą wśród innych na barku, który był wykonany z drewna i wyglądał na najdroższy mebel w pokoju. Bez słowa nalał solidną porcję bursztynowego płynu do szklanki i postawił przed lingwistką. Poczwała ostre zapach alkoholu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale ja nie piję. Kontynent, na którym się wychowałam, pozostaje pod jurysdykcją kooperatywy neoamiszów. Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żeby zaczynać teraz.

– Może pani zmienić zdanie po tym, co powiem. – Postawił szklanę na środku stolika, dostatecznie blisko, by mogła wygodnie dosięgnąć, ale na tyle daleko, że nie czuła przymusu. Usiadł w drugim fotelu. – Łowca Przeznaczenia uległ wypadkowi sto dwadzieścia lat temu, jak pewnie pani wie. Dwadzieścia lat temu znaleziono wypalony kadłub, statek utracił atmosferę i przełamał się na pół, niekoniecznie w tej kolejności. Doliczono się większości ciał, a było ich wiele; około setki kolonistów dostało pozwolenie, żeby osiąść na Arkadii. Wśród nich dzieci. Kilku ciał brakowało, ale złożono to na karb samej katastrofy i związanej z nią wybuchowej utraty powietrza.

Channery zdusiła wewnętrzne zniecierpliwienie, gdyż jak na razie nie usłyszała nic nowego. Lokalna strefa czasowa na frachtowcu mniej więcej odpowiadała strefie panującej w Nowym Dortmundzie, gdzie mieścił się uniwersytet, co oznaczało, że jej wewnętrzny zegar obwieszczał kosmiczny odpowiednik psiej wachty. Czwarta, najmarniej trzecia. Czas spać!

– Przyjmuje się, że brakujące ciała zdryfowały daleko w przestrzeń, co nikogo nie dziwiło w tych okolicznościach. Zaskoczeniem był końcowy komunikat komisji badającej przyczyny katastrofy. Zderzenie z asteroidą.

– Pamiętam – odezwała się Channery. – Było wiele wątpliwości. Jak statek mógł wejść na kolizyjny kurs z asteroidą? Dlaczego komputery zawiodły? Więcej pytań niż odpowiedzi. Podniosły się głosy negujące sens wypraw kolonizacyjnych. W końcu przeważyły opinie, że skoro pojedyncza katastrofa wydarzyła się sto lat temu, należy założyć, że stanowiła wydarzenie statystycznie nieistotne przy liczbie podróży podejmowanych co roku.

– I tutaj dochodzimy do moich pacjentów. We wraku Łowcy brakowało ciał pięciorga dzieci. Troje z nich odnalazło się dwa tygodnie temu, niedaleko Argusa, karłowatej planety z osadą górniczą. Z trudnością namierzono ich sygnał ratunkowy. Skrajnie wyczerpane w uszkodzonej kapsule ratunkowej z Łowcy Przeznaczenia. Starsze o około dziesięć lat. Nastolatki obecnie.

– Niemożliwe! Powinny być starsze. Może to klony? Wprawdzie to nielegalne, ale zawsze lepsze wyjaśnienie.

Chciała złapać się za głowę, gdy dotarła do niej głupota tego, co powiedziała. Brak snu robił swoje. Rzeczy zabronione przez prawo były często dozwolone pod inną jurysdykcją. Rzadkie były wyjątki, co do których zgadzały się wszystkie ciała prawodawcze. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to prawa dotyczące Dzikich Inteligencji. O, tutaj wszyscy byli zgodni – wytępić!

Pokręcił głową.

– Mają w sobie oryginalne wszczepy. Odczyty systemu wykazują brak manipulacji i brak hibernacji. Zupełnie jakby ich czas płynął wolniej. Nie jest to zupełnie niemożliwe. To, że my nie podróżujemy z prędkościami wywołującymi efekty relatywistyczne...

Nie dała wiary tym słowom. Ludzkość zbadała dużą część galaktyki, a jednak nigdzie nie natrafiono na ślad jakichkolwiek obcych. Wśród uczonych panowała zgoda, że ludzkość ich raczej nie spotka, i w kanonie nauczania ten pogląd opatrzone tytułem „Dziesięć powodów, dlaczego jesteśmy sami (w kosmosie)”.

– Nie jestem fizykiem – powiedziała – ale chyba możliwe jest jakieś bardziej racjonalne wyjaśnienie.

Uśmiechnął się.

– Możliwe. Proszę jednak zapoznać się z materiałami, które na ich temat zgromadziłem. Komputer twierdzi, że nie mówią. Ja podejrzewam, że może się mylić.

Zamyśliła się.

– Może mieć rację. Na dawnej Ziemi notowano przypadki tak zwanych dzikich dzieci, których kontakt społeczny z różnych powodów ograniczył się do zwierząt. Niektóre na zawsze utraciły możliwość opanowania jakiegokolwiek języka po przekroczeniu krytycznego wieku, mimo zdolności do wydawania dźwięków. Zależy, jak małe były w chwili katastrofy.

– Są o dziesięć lat starsze. Nie mogły ich spędzić w kapsule, pani doktor. Musiały dostać skądś pomoc.

Pokiwała głową.

– To nadal nie znaczy, że ktoś nauczył je języka. Mogą to nadal być dzikie dzieci, wystarczy, że nikt do nich nie mówił. Chociaż musiał się o nie troszczyć. Zaniedbane emocjonalnie dzieci bez kontaktu społecznego raczej nie przeżywają.

– Wysłałem wszelkie dane do komputera w pani kabine.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jestem jednym z dzieci Mirandy10? Ja nie mam wszczepu.

– Wszystkie dane przechowujemy w formie dostępnej również dla osób niezmodyfikowanych. Zgodnie z wymogami prawa. – Podał jej niewielką plastikową kartę. – To klucz. Proszę kierować się jego wskazaniem. Doprowadzi panią do kabiny. Proszę nie spodziewać się luksusów. Rzadko mamy innych gości niż wyrobniczy z asteroidów.

Podniosła torbę, ciężką w niemal standardowej niby grawitacji, i wyszła z gabinetu Kopara. Zgodnie z zapowiedzią klucz skierowany we właściwą lekko stronę zawibrował w dłoni, a jego krawędź rozbliżyła zieloną poświatą. Na próbę skrzyła w złą stronę. Usłyszała świst i całą powierzchnię karty rozświetliły migoczące czerwone pasy.

Zatrzymała się przy drzwiach, których futryna nabrała identycznego zielonego odcienia jak krawędź karty.

– Proszę przyłożyć kartę do czytnika. – Usłyszała zdanie wypowiedziane jednym ze standardowych głosów używanych przez pospolite komputery.

Westchnęła i zbliżyła dłoń. Odrzuciła przekonania swoich rodziców, wybierając szkołę na innym kontynencie, a potem uniwersytet, lecz świadomość wszechobecnej inwigilacji sprawiała jej dyskomfort.

– Ślad zapachowy przyjęty. – Słowa, na które czekała. – Od tej pory nie potrzeba klucza, chociaż zaleca się noszenie go przy sobie.

Drzwi rozsunęły się z prawie niesłyszalnym szelestem. Kabina rzeczywiście była skromna, chociaż niegdyś określiłaby ją jako niezwykle wyszukaną. Mała Channery Chen wychowywała się w środowisku, gdzie obecność SI, nie mówiąc o Mapowanych Inteligencjach, ograniczono do minimum, próbując naśladować proste życie mitycznych przodków. Teraz przed sobą widziała pomieszczenie umeblowane w stylu industrialnym, które większość ludzi, praktycznie wszyscy poza nią, odbierała jako neutralny.

Jedną z metalowych ścian kabiny zdobiła mozaika z drobnych płytek wyciętych z kryształów, prawdopodobnie wykopanych w niedalekiej kopalni. Różnokolorowa, lśniła blaskiem przechwyconym z niewielkich reflektorków podczepionych pod sufitem. Podłogę pokrywała wykładzina: szarzyła się pasami o ton lub dwa ciemniejszymi od ścian. Jedyne łóżko opanowała fioletowo-zielona kapa, w odcieniach zażyczonych ze wzorów mozaiki. Oczywiście, żadnych naturalnych materiałów, co powitała z zadowoleniem. Ciągłe podobały jej się wnętrza inne od neoamiszowskich emanacji mitycznego Złotego Wieku Ludzkości. To raz. A dwa – miała alergię na wełnę, jeden z głównych produktów Kooperatywy. Już dawno nie używano wełny prawdziwych owiec, ale alergizujące białko pozostało. I tylko dzięki temu dostała zgodę na wyjazd, po dramatycznym ataku i uprzytomnieniu

rodzicom, że wyleczenie z alergii wymagałoby zgody za zabiegi niedozwolone według ideologii, którą wyznawali.

Polubiła wtedy swoją chorobę, a że w Nowym Dortmundzie nie była narażona na kontakt z wełną, zabrakło motywacji do rozpoczęcia leczenia. Alergia okazała się też dobrą wymówką ograniczającą podróże do domu.

Rozebrała się i położyła; wraz z dotknięciem śliskiej poscieli poczuła delikatny zapach, który miał działać uspokajająco. Podobny czuła w swojej kabinie przez większość podróży frachtowcem. Jego wspomnienie sprawiło, że zeszytniała.

– Bez efektów zapachowych – powiedziała.

Leżała z otwartymi oczami, które niewiele widziały w panującym mroku, czekając, aż komputer spełni polecenie. Po chwili aromat zaczął znikać, rozrzedzony powietrzem wypchniętym z kratki wentylacyjnej. W końcu zasnęła.

Obudził ją atak paniki. Dusił się, ciało spływało potem. Serce biło tak szybko, że miała wrażenie, że uderzenia pulsu zlewają się w jedną nić. Chciała coś powiedzieć, ale ściśnięte gardło nie pozwalało na wypowiedzenie ani słowa. Próbowwała wciągnąć powietrze, ale ściśnięte oskrzela to uniemożliwiały. Przerazenie pogarszało sprawę. Pomyślała, że powinna się uspokoić, narzucić sobie spokój, że jej tętno jest monitorowane przez autonomiczne urządzenia kabiny i nie chce przecież wywoływać alarmu medycznego, lecz w tej samej chwili straciła przytomność.

Odzyskała ją w ambulatorium, obudzona przez czyjś głos. Chciała jeszcze pospać, ale ten ktoś zadawał pytania, przeszkadzał w ponownym odpłynięciu w niebyt. W końcu zrozumiała, że nie przestanie, dopóki ona nie odpowie. Chwilę później zorientowała się, że oprócz słów słyszy charakterystyczne odgłosy aparatury i czuje zapach środków odkażających. Otworzyła oczy i rozejrzała się.

Leżała ubrana w przydziałową koszulę, a nad nią pochylał się Imri Kopar.

– Została pani zmedykalizowana przez komputer stacji – powiedział. – Nie mówiła pani, że cierpi na fobie.

– Bo do tej pory nie cierpiałam. Pierwszy atak, stosunkowo lekki, nastąpił jeszcze w kapsule transportowej. Lekka klaustrofobia, nic wielkiego.

Imri Kopar przybrał częstą u lekarzy minę świadcząca o tym, że ma przed sobą kogoś nieświadomego zagrożenia i że nie wierzy w to, co widzi. Lingwistka czasem myślała, że medycy tego wyrazu powątpiewania uczą się na specjalnym kursie lub przynajmniej ćwiczą przed lustrem.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ataki lękowe to poważny problem w kosmosie. Zdarzało się, że ludzie rozhermetyzowywali pomieszczenia, nie patrząc na to, ile postronnych osób znajdowało się razem z nimi. Nie mam nic przeciwko tym, którzy chcą wyjść w przestrzeń bez skafandrów, ale tylko jeśli robią na to własną rękę. Oczywiście, będę protestować, jeśli znajdę się w pobliżu, przysięga zobowiązuje mnie do ratowania nieporozumiałych, ale to jedyny powód.

Channery chciała coś powiedzieć, ale podniósł rękę.

– Ani słowa. Proszę mnie dobrze posłuchać. Mam uprawnienia, żeby zapakować panią do hibernatora, żeby nie szkodziła sobie i innym, i wysłać najbliższym lotem na planetę. Ludzie z atakami lękowymi nie mają prawa przebywać w kosmosie. Chyba że się leczą. A leczenie wymaga ingerencji neurologicznej w zakresie większym niż zwykle pozwalają na to ludzie powołujący się na prawo przeforsowane przez Mirandę<sup>10</sup>.

– Nie zamierzam się na nie powoływać. – Imri zrobił przerwę na nabranie powietrza i postanowiła to wykorzystać. – Mam inne przekonania niż moi rodzice. W ciągu ostatniego roku widziałam się z nimi dwa razy. Nie mam wszczepu, bo według neurologa istnieją przeciwwskazania. Stwierdził, że moim wieku mogłabym zapomnieć połowy



tego, czego się już nauczyłam. Przejściowo, ale nie chciałam ryzykować.

Rozpromienił się.

– Myślę, że dojdziemy do porozumienia. – Sięgnął po niewielki pojemnik, leżący obok na stoliku. Otworzył i wyjął z niego niewielką wstążkę metalicznego koloru. – Założę pani stabilizator kontrolujący pani reakcje. W przypadku nadchodzącego poważnego, ataku poda odpowiedni lek i zawiadomi ambulatorium. Ale to ostateczność, bo oprócz tego na bieżąco będzie stabilizował emocje. A pani go nie zdejmie, jasne? Jest wodoodporny i wytrzymały.

Odgarnął jej włosy ze skroni i przyłożył stabilizator. W pierwszej chwili poczuła chłód, ale minął po paru sekundach. Dotknęła tego miejsca ręką, ale prawie nie wyczuwała różnicy pomiędzy urządzeniem a skórą.

– Prawie go nie widać. – Usłyszała. – Może pani wracać do siebie. Spała pani kilka godzin, wystarczy tej obserwacji.

Kopar zasłonił jej łóżko kotarą. Na łóżku dostrzegła leżące ubranie: spodnie i tunikę, w których przyjechała.

Po powrocie do kabiny stwierdziła, że nie chce jej spać. Zerknęła na zegar wyświetlany na konsoli komunikacyjnej. Wedle umownej strefy czasowej brakowało dwóch godzin do początku dnia. Channery usiadła przed ekranem.

– Dlaczego? – Zanim zdążyła aktywować urządzenie, rozległ się kobiecy głos. – Dlaczego ktoś odrzuca współczesną cywilizację?

Channery uśmiechnęła się w duchu. MI, Mapowane Inteligencje, wykazywały się czasami niezwykłym wścibstwem i w odróżnieniu od komputerów i programowalnych SI inicjowały komunikację, żeby zaspokoić ciekawość. Postawały w wyniku zrzutu ludzkiego umysłu na sieć neuronową i stanowiły krok pośredni pomiędzy ludźmi a Dzikimi Inteligencjami, czyli sieciami od początku hodowanymi jak dzieci, bez narzucenia profilującej osobowości.

– To znaczy, panie poruczniku – przerwał mu Bander – że w momencie wejścia do układu okrętów wroga porzucacie misję. Niezwłocznie. A Waszyngton kończy Impaktorem.

– A jeśli ewakuacja skomplikuje się?

– Waszyngton kończy misję Impaktorem.

– Ile będziemy mieli czasu na ewakuację?

Komandor obejrzał się na Fairbanxa.

– Będziecie mieli... Przy założeniu, iż przeciwnik wejdzie do układu na minimalnej bezpiecznej odległości, będziecie mieli nie mniej niż dziesięć minut na ewakuację i start plus wejście na orbitę i parkowanie w Goliacie... Razem jakieś czterdzieści minut do odejścia z orbity i ucieczki w przestrzeń.

– Dodam, iż to jest czas minimum – odezwał się komandor.

– Borturianie nie spodziewają się nas tutaj, więc najprawdopodobniej wejdą tak jak my, a nawet dalej, czyli około minuty świetlnej od celu. Minimalna bezpieczna odległość wejścia to około piętnastu sekund świetlnych. To, wraz z rozpędzaniem i hamowaniem flotylli, daje nam wspomniane czterdzieści minut. W przypadku wejścia minutowego będziemy mieli około trzech godzin, więc dość czasu, by zakończyć waszą misję i zebrać na Goliata. Sytuacja będzie dynamiczna, lecz nie spodziewam się, byśmy musieli dokonywać wyborów kosztem naszych ludzi. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Kolejne pytania? Nie widzę. – Zawiesił głos, spoglądając po wirtualnych twarzach podkomendnych. – Na tym zakończymy...

– Przepraszam... – niespodziewanie wszedł mu w słowo Joi z Gemini. – Mamy coś na sensorach. Prawdopodobnie kolejną jednostkę Borturian. Martwą.

[Sensory: Transmisja z Gemini.]

Bander wrzucił napływające dane na monitory wirtualnej sali odpraw.

[Sensory: Potwierdzona obecność okrętu wroga w trybie pasywnym. Brak sygnatury, brak aktywności elektromagnetycznej. Wydaje się martwy, tak przynajmniej wygląda na sensorach. Namiar na podstawie śladu cieplnego w atmosferze.]